

Traktat z Tordesillas – 520 lat po

6 czerwca 2014

Pochwyciwszy kartkę papieru, ołówek, cyrkiel i ekierkę możemy kreślić dowolne półkola, wymyślne wielokąty i przestrzenne figury. Nasza wyobraźnia i zachcianki mają szerokie pole do popisu. Znudziwszy się tą zabawą pokreśloną kartkę odkładamy na bok, i dla większego przytupu, bierzemy na tapetę mapę. Znowu spod rąk naszych wychodzą pikantne zawilce, tym razem jednak okrąg okała Wielką Brytanię, krzyż dzieli na cztery części Afrykę, i oto Australię i Azję oddajemy mocy pięciokątów. Płaszczyzna dzieli się na wiele odrębnych pól, a my teraz możemy nadawać im właściwe, rodzącym się pomysłom, nazwy i przeznaczenia. Bawiąc się, najpewniej z zupełnej nudy, wnet odkrywamy perfidię stawianych linii. Mapa Ziemi będąca przedmiotem naszej dowolności jest odzwierciedleniem rzeczywistych lądów, my zaś nanosząc kolejne prostopadłe i równoległe, poddając je wydawanym z fotela werdyktom, dzielimy ludzkie społeczności i niczym bogowie ze zbyt małym sercem, kreujemy ich predestynację, posuniętą kilka pokoleń wprzód.



Kultura polityczna, jeżeli respektuje wolność oraz rozwijająca się sieć świadomości, której za instrument może służyć

Internet, dopominają się o to by mieszkańcy danego terytorium sami stanowili o jego statusie i brali czynny udział w podejmowaniu decyzji dotyczących norm i praw obowiązujących w jego granicach. Gdy tworzymy spółdzielnie, bierzemy udział w referendum, gdy nasi ziomkowie zamieszkują całą dolinę, kiedy zdajemy się sobie suwerenni lub jesteśmy pewni prawidłowości i struktury zamieszkiwanego świata, jakże odrealnioną wydaje się ingerencja nieznanego władcy, który bez wiedzy naszej ogłasza „stało się”, my zaś nie wiemy, że zapadł wyrok, chociaż niedługo potem przychodzi nam poczuć na plecach chłód metalu i usłyszeć podnoszone stentorowym głosem „wynoście się”!

Ideologowie i intelektualiści aktualnych żądz, od wieków, po dziś, tworzą i nanoszą na mapy siatki podziałów świata – autentyczne, będące uaktualnieniem dokonywanych podbojów, bądź planistyczne, potwierdzające prawa do przyszłych ekspansji. Inne znowu mają natchnąć ludzi do określonego, najczęściej uproszczonego myślenia o rzeczywistości, a zatem przygotowują ludzkie umysły do „właściwego” postrzegania kreowanych zdarzeń. Szczególną cechą umożliwiającą zidentyfikowanie tych projektów jest ich ambicja do jednoczesnego opisanie i zagospodarowania świata oraz dążność do sprowadzenia skomplikowanej rzeczywistości do tarć między kilkoma głównymi blokami, w których jakoby zgrupowała się ludzkość. Implementowaniem takich treści do naszych umysłów zajmuje się między innymi gra geopolityczna. System zimnowojenny, zderzenie cywilizacji Huntingtona, czy konfrontacja cywilizacji morza i ziemi Dugina, to jedne z takich właśnie oprogramowań, które uwodząc człowiecze umysły, ułatwiają gromadzenie wielkich zasobów i mas ludzkich oraz wdrażanie wielkich przedsięwzięć, na pohybel dominujących opcji politycznych, gospodarczych i finansowych.

Dzisiaj, dzięki łatwiejszemu obiegowi informacji, mamy potencjalną możliwość do rozpoznawania tego rodzaju globalnej inżynierii politycznej. Możliwość ta nie przełożyła się jeszcze na ogólnoludzką świadomość jej istnienia; ten kto

szuka i zastanawia się oraz nie jest pozbawiony dostępu do informacji, czasami przekonuje się niemniej, że król jest w istocie nagi. Komfort to złudny, jako, że nie stawiamy procesom tym skutecznego odporu. Jednakowoż z historycznego punktu widzenia, wiedząc o nich, znajdujemy się w sytuacji jak dotąd rzadkiej i nie często spotykanej. Miejmy w pamięci tych wszystkich, którym nie dane było poznanie, które umożliwiłoby im przedsięwzięcie odpowiednich środków zaradczych.

7 czerwca 1494 roku złożono podpisy pod bardzo znamienym traktatem. Dokument ten słusznie nazwano „pierwszym podziałem świata”. Nigdy wcześniej i później, kilkoma pociągnięciami wskaźnika, pionowo i poziomo wzdłuż mapy, nie zdecydowano naraz o losie tak wielkiej ilości ludzi, związków i narodów, o których w momencie podejmowania decyzji nie posiadano najmniejszego pojęcia. Konieczność narady i rokowań sprokurowało dopłynięcie Krzysztofa Kolumba do wysp karaibskich w 1492 roku, które podówczas uznano za przedmurze Indii. Genuńczyk, osiągając w służbie królowej Kastylii Izabeli i Ferdynanda Aragońskiego współrzędne kontynentu amerykańskiego, otworzył ocean atlantycki dla roszczeń hiszpańskich. Zgłaszane pretensje wielce były problematyczne dla równie katolickiego monarchy, Jana II, władającego z Lizbony. Od ponad 60 lat statki portugalskie penetrowały już zachodnie wybrzeża Afryki. Robiono przy tym wiele by postępy okrętów z Sargres, gdzie powstała stocznia, nie były głośne na innych europejskich dworach. Ekspansja była możliwa dzięki odpowiedniemu ułokowaniu prekursora tych wypraw, księcia Henryka Żeglarza, który był jednocześnie wielkim mistrzem rycerskiego Zakonu Chrystusa, wzbogaconego na majątku rozwiązanych przez papieżstwo Templariuszy. Wspierani przez poddanych korony portugalskiej zakonnicy chrystusowi mieli dość środków by organizować zamorskie ekspedycje.

Wiadomość o sukcesie pływającego pod hiszpańską banderą Kolumba, skłoniła portugalską koronę do energicznych protestów. Naruszenie dotychczasowego monopolu przez

iberyjskiego sąsiada, uznano za atak na respektowane obustronnie zapisy prawne. Portugalia posiadała papiery uwierzytelniające jej władców do odkryć i podbojów, które wyszły spod rąk papieża Mikołaja V i Kaliksta III, w latach 1452 i 1456. Kastyljscy władcy nie tylko nie oponowali przeciwko temu uprzywilejowaniu, ale mało tego, skupieni na sprawach śródziemnomorskich, uznali te prawa w 1479 roku. Portugalczycy w myśl europejskiego prawodawstwa spajanego osobą papieża, posiadali prawo do panowania nad lądami odkrytymi na wschód i na południe od przylądka Bojador, aż do Indii. Węsząc interes i uporawszy się z problemami wewnętrznymi, Ferdynand Aragoński nie zamierzał ustępować – wraz z małżonką, patronką wypraw Kolumba, powoływał się na prawo pierwszeństwa; podczas gdy Jan II, głowa Portugalii, obstawał przy kluczowych jego zdaniem instrukcjach papieskich. Ubolewania godny konflikt między dwoma katolickimi monarchiami na drodze pokojowej rozstrzygnąć mógł tylko jeden człowiek – papież.

Godność ojca kościoła w owym czasie piastował Rodrigo Borgia, który wstępując na tron objął imię Aleksandra VI. Dorównywał on, a nawet wyprzedzał w niedowładzie moralnym innych „występnych papieżów renesansu”. Stolica Piotrowa znajdowała się w pełzającym kryzysie. Pośrednikami bożymi zostawali na przemienne ludzie ustosunkowani, rekrutujący się m.in. z potężnych rodzin tj. Medici, La Rovere i Piccolomini. Aleksander VI Borgia, sam będący z pochodzenia Hiszpanem, nie wydawał się osobom najbardziej obiektywną do rozstrzygania zgłoszonego mu sporu. Portugalski król nie mógł jednak nie liczyć się ze zdaniem papieża.

3 maja 1493 roku, dwa miesiące po powrocie Kolumba z pierwszej wyprawy, papież ogłosił bullę Inter caetera. Przyznawał w niej Kastylii prawa do wszystkich „lądów położonych naprzeciw części zachodnich i na oceanie” które nie znajdowały się dotąd we władaniu innych chrześcijańskich władców. Hiszpanie otrzymali więc takie same prawo do ziem zachodnich, jakie

wcześniej przyznano Portugalii w stosunku do terytoriów położonych na wschód i południe od Europy. W drugiej bulli ogłoszonej dzień później, Aleksander VI spróbował dokładniej nakreślić prawa i granice geograficzne stanowiące linię demarkacyjną dla zakusów obu monarchii. Abstrahując od znanych już wtedy faktów geograficznych uczynił to na tyle nieumiejętnie, iż wszczęto dodatkowe rokowania portugalsko-hiszpańskie. W ostateczności linię oddzielającą strefy wpływów dwojga iberyjskich sąsiadów poprowadzono w linii poziomej wzdłuż Wysp Zielonego Przylądka oraz 370 leguas morskich (1 legua = 5,55 km) w linii pionowej na zachód od rzeczonej lokalizacji. Ustalenia ponad rocznych rozmów spisano w traktacie zawartym dnia 7 czerwca roku pańskiego 1494 w hiszpańskim mieście Tordesillas.

Tak oto po raz pierwszy i tak wyraźnie, co do późniejszych konsekwencji, rozplątano świat na dwie części. Mając na uwadze, znane nam dzisiaj rozmiary Ziemi w ruchach Aleksandra VI i iberyjskich monarchów dostrzegamy rys megalomaństwa i zapowiedź, nadchodzącej dopiero i gotowej na wszystko, ekspansji. Werdykt, niektórym ówczesnym w Europie zdawał się oczekiwanym. Papież jako namiestnik boży w ziemskim ogrodzie życia oraz statki wypływające z Europy, niosące obok misji cywilizacyjnej profity łupieżczo-handlowe, łatwo można było przedstawić, jako kontinuum religijnego posłannictwa spoczywającego na chrześcijańskich monarchach. Traktat, poddany wpływowi czasu, oczywiście nie mógł uniknąć erozji, zwłaszcza gdy do kolonialnej rywalizacji włączyły się pozostałe europejskie ośrodki. Tordesillas stało się jednak latarnią, która ekspansji europejskiej za oceany – kolonizacji która i tak by nastąpiła – nadawała określone ramy, tak by „katoliccy monarchowie” nie walczyli ze sobą, lecz w niejakej koegzystencji, służyli tym samym interesom.

Linia poprowadzona papieską ręką i poprawiona później w Tordesillas, miała jeszcze jeden doniosły aspekt. Potwierdzając własne aspiracje do władania światem, europejscy

ekspansjoniści odmawiali samostanowienia i samodzielności wszystkim ludom, na które natrafiają podczas eksploracji i podbojów. Świadection kolejnych kilkudziesięciu lat po Tordesillas, w obu tylko Amerykach, dostarcza wykładnię pod tę tezę. Każdy lud który nie uznawał zwierzchności europejskiego patrona i nie był natenczas w jakiś sposób użyteczny dla iberyjskich koron, nie dokładając jednocześnie pracy swych rąk do pomyślności skarbu najeźdźców, zagrożony był groźbą wojny i jarzmem niewolnictwa, a tu i ówdzie, widmem feudalnego wyzysku. Nie potrafiący wyjść poza nabyte granice właściwego sobie systemu wartości, Europejczycy nie uznawali granic kultury, terytoriów i samostanowienia napotykaney ludności. Szkicując strefy wpływów w Tordesillas, kreślono zarazem przyszłe losy – wydawano wyroki na całe państwa, narody i społeczności, żyjące poza światem zachodniej Europy. Huastekowie, Cibonejowie, Mapucze, ludy Kanady czy autochtoni mówiący językiem czibcza – żadne z nich, choć jeszcze im nieznane, w oczach aspirantów do władania światem nie posiadało podmiotowości prawnej i w toku kolonizacji miało zostać podbite, wchłonięte lub rozmyte w wodach zwierzchności rezydującej w europejskiej metropolii. Nie ma dzisiaj w obu Amerykach ani jednego narodu, państwa, ani związku plemiennego, który zachowałby całkowitą suwerenność i tworzył niepodległą jednostkę terytorialną uznawaną przez Organizację Narodów Zjednoczonych.

Traktat z Tordesillas stanowił swego rodzaju początek, wykładnię pod to jak należy zapatrywać się na kultury i narody żyjące poza europejskim kręgiem kulturowym. Europocentryzm i poczucie wyższości święciły zasadnicze triumfy przez następne wieki. Konferencja w Berlinie roku 1885, w gościnie u Otto von Bismarcka stanowiła nową, bardziej świecką wersję Traktatu z Tordesillas dla Afryki i podobnie jak prototyp z roku 1494 skutkowała później aneksjami, najazdami i widzialnymi aktami ludobójstwa.

7 czerwca 2014 roku mija 520. rocznica podpisania Traktatu z

Tordesillas. Pół tysiąclecia wymiany pokoleniowej i nauki na błędach przeszłości nie wystarczyło, byśmy wypracowali czyste, przejrzyste i jednoznaczne ramy pozwalające odrębnym podmiotom etnicznym na zachowanie uznawanej niezależności i nienaruszalności praw w ramach obowiązujących praktyk legislacyjnych. Dziesiątki miliony potomków tych, którzy zostali niegdyś zaocznie objęci zapisami Traktatu z Tordesillas, uznawani są dzisiaj za ludność tubylczą. Prerogatywy im przysługujące potwierdzają Deklaracja ONZ ds. Ludów Tubylczych oraz Międzynarodowa Konwencja Organizacji Pracy IL0'169. Integralność i poszanowanie odmienności respektują również systemy prawne niektórych państw. Instytucje prawne czuwające nad zachowaniem suwerenności i spójności kulturowo-gospodarczej ludów nie reprezentowanych, podległych zewnętrznym jednostkom administracyjnym, pozostają często jednak bezsilne wobec zorganizowanej ekonomicznej i politycznej presji, dążącej do wysadzenia rdzennej ludności, z chwiejnego, obrotowego krzesła, na której siedzi, w XXI-wiecznej karuzeli, kierowanej przez pozostające poza wpływem, ośrodki centralne i do centralizacji zmierzające. W Etiopii prowadzone są właśnie masowe przemieszczenia narodów plemiennych na południu kraju, w Ekwadorze zaś tamtejszy rząd ogłosił wydobycie ropy naftowej na terytoriach zamieszkałych przez społeczności nie posiadające kontaktu ze społeczeństwem narodowym, które zachowując autonomię wobec świata zewnętrznego są równie niezawisłe, jak niegdyś ci których objęto zaocznie zapisami Traktatu z Tordesillas. Umysłowość rodem z 1494 roku wciąż krępuje naszą prawomyślność, a zaborczy duch z Tordesillas nadal krąży nad ziemskim globem.

Autor: Damian Żuchowski
Dla „Wolnych Mediów